

Anna Dymna kocha Stary Teatr jak swojego męża

Z aktorką Anną Dymną, obchodzącą jubileusz 35-lecia pracy artystycznej w Starym Teatrze, o magil sceny rozmawia Joanna Weryńska

Pamięta Pani swój teatralny debiut?

Jakby to było wczoraj. Byłam studentką pierwszego roku PWST, Lidia Zamkow wybrała mnie do roli Isi i Chochoła w „Weselu” Wyspiańskiego. Miałam ogromne szczęście. Już na początku trafiłam na reżysera, dla którego teatr był wszystkim. Zamkow nauczyła mnie, że aktorstwo to najważniejszy zawód na świecie. Premiera spektaklu odbyła się w Teatrze im. J. Słowackiego. Nie da się nawet opisać, jak bardzo byłam zdenerwowana. Tym bardziej że mój tato powiedział mi tuż przed spektaklem – Skoro już grasz w teatrze to trudno, ale o 22 musisz być w łóżku. Później jednak widziałam, jak pokazywał znajomemu moje zdjęcie i z dumą mówił – To moja córka, gra w teatrze!

Nie kusilo Pani nigdy, żeby związać się etatowo z innym teatrem niż Stary?

Nie, chociaż miałam sporo propozycji. Ale po co miałam szukać innego, skoro tu pracowali najlepsi reżyserzy, aktorzy. Poza tym Stary Teatr był dla mnie zawsze czymś znacznie więcej niż tylko miejscem pracy. Tu mam przyjaciół, bez których chyba nie poradziłabym sobie z moimi tragicznymi życiowymi problemami. Kocham ten teatr jak męża. W małżeństwie różnie bywa, są lepsze i gorsze momenty, ale miłość pozwala znosić wszystko.

Nawet tremę? Czuje ją Pani jeszcze wychodząc na scenę?

Gdy byłam młodą dziewczyną miałam dużo mniejszą niż

teraz. Pamiętam premierę „Nocy listopadowej”. Grałam tam u boku Zofii Jaroszewskiej. 80-letnia już wtedy pani Zofia miała ogromną tremę. W ustach jej zasychało i bardzo się denerwowała, choć przecież była wielką, doświadczoną aktorką. Zapytałam ją, „Jak to, pani Zofio, pani się denerwuje?”. A ona mi odpowiedziała „Dziecko, gdy będziesz znana, to zobaczysz, co to jest odpowiedzialność. Teraz, jeśli nawet się przewrócisz na scenie, to powiedzą – o jak ślicznie się to małe przewróciło. A ja? Na mnie patrzą i myślą sobie, „Ciekawe, co ta krowa Jaroszevska jeszcze może pokazać”. Miała całkowitą rację. Gdy byłam młoda, oczywiście miałam tremę, ale kiedy wchodziłam na scenę wszystko mi przechodziło. A teraz, już trzy dni przed premierą, nie ma ze mną kontaktu. Mój syn mawia wtedy „Mama wkłada mięso do pralki, widać zbliża się premiera”.

A jak to jest z tzw. gotowaniem się aktorów na scenie, gdy ni stąd, ni zowąd wszystkich ogarnia niepołamany śmiech?

To jest odruch nerwowy. Czasami byłam nawet w takiej sytuacji, że musiałam z tego powodu zejść ze sceny. W „Warszawiance” grałam Annę. Lubaszenko wygłaszał akurat długi monolog i w pewnym momencie z widowni rozległ się śmiech. Popatrzyliśmy na siebie i wszyscy zaczęliśmy się śmiać, jak szaleni. Sceniczny Chłopicki jeszcze chwilę przemawiał, nagle przestał, odwrócił się i również zatrząsł się ze śmiechu. Jednak za kulisami działały się potem okropne rzeczy. Wszyscy daliśmy sobie po pysku. Pamiętam też, jak w stanie wojennym na Wawelu graliśmy „Mord w katedrze” w reżyserii Jarockiego. Było



Anna Dymna za sukces uważa fakt, że wciąż kocha życie

Jubileuszowe spotkanie z Anną Dymną odbędzie się dziś o 19 w Starym Teatrze

strasznie zimno. Wśród widzów stał łysy facet w szaliku w czerwono-zieloną kratkę. Było mu zimno w głowę, więc owinał sobie ten szalik dookoła twarzy, wiążąc w kokardę na czubku głowy. W ogóle nie zdawał sobie sprawy z tego, co zrobił. Śpiewałam wtedy z innymi

aktorkami akurat piękne koleżdy Stanisława Radwana. Popatrzyliśmy wszystkie na tego faceta i cały chór ryknął śmiechem, który przeszedł w płacz. Dosłownie, kładłyśmy się na posadzce ze śmiechu. Szukałyśmy ratunku w biskupie, ale on też nie wytrzymał. To chyba był taki histeryczny śmiech. Żeby go powstrzymać trzeba było się nieźle namęczyć. Takich sytuacji była jeszcze cała masa.

To, że jest Pani doświadczoną aktorką nie pozwala zapanować nad tego typu odruchami?

W tym przypadku wiek nie ma żadnego znaczenia.

Dla aktora pewnie wielką tragedią jest utrata młodości i kondycji. Podobnie jak dla każdego tracimy publicznie, w związku z tym to bardziej boli. Nawet czasami bardziej tych, którzy o tym mówią, niż nas. To, że mam 58 lat i wciąż kocham życie jest moim największym sukcesem. Wiem o tym, że czas płynie dla wszystkich równo. Na szczęście, gdy byłam młoda, słuchałam co mówili mi starsi i wiedziałam, że tak będzie. Moją młodzieńczą figurę straciłam z bardzo radosnego powodu. Bardzo długo nie mogłam zająć w ciąży. Wreszcie spełniło się największe marzenie mojego życia. Wymodliłam sobie synka. Przytyłam 32 kilogramy. Chodziłam jak taki gruby balon szczęścia. Unosiłam się nad ziemią, grałam zresztą w ciąży bardzo długo. Dopóki się mieściłam w drzwi. Do pracy wróciłam po trzech miesiącach. Poczułam wtedy wstyd, że jestem w teatrze i tak wyglądam. Wtedy właśnie trafiłam na Kazimierza Kutza. On jednym zdaniem wszystko to odblokował. Powiedział, „Wreszcie jesteś prawdziwa baba, cycki masz, dupę masz. Pięknie!”. I jakoś ten wstyd mi wtedy przeszedł. Zresztą właśnie po urodzeniu dziecka zagrałam wszystkie swoje najciekawsze role. Mam wrażenie, że z tym moim przemijaniem większy problem mają ludzie. Dawno już pogodziłam się z upływem czasu. Zdaje sobie sprawę z tego, że nie mam go już wiele, dlatego nie mogę sobie pozwolić na granie ról, które mnie nie interesują. A młodość? Teraz świat upiększają moje śliczne studentki i młodsze koleżanki, a ja staram się odszukać w sobie jakieś inne piękno, które może gdzieś tam się kryć w moim dymnym wnętrzu.